

Brychczy - Był i będzie zawsze

Sobota, 13 maja 2006 r. godz. 12:22, źródło: Rzeczpospolita

Z piłką przy nodze, potrafił mijać po kilku przeciwników w jednej akcji. Ludzie wstawali wtedy z miejsc i otwierali usta. Kiedy trener spytał piłkarza ŁKS Łódź Wojciecha Łazarka, dlaczego nie przeszkadzał Brychczemu, późniejszy opiekun reprezentacji Polski odpowiedział: - Nie mogłem, panie trenerze. On tak pięknie grał.

Brychczy był piłkarzem niskim (stąd wziął się jego powszechnie używany przydomek Kici - Mały, nadany mu przez węgierskiego trenera Janosa Steinera), ale niezwykle szybkim i sprawnym.

Grał tak, że kiedy do Polski przyjechała reprezentacja Hiszpanii z najlepszymi piłkarzami świata - Alfredo di Stefano, Francisco Gento i Luisem Suarezem - ich trener, nie mniej słynny Helenio Herrera myślał poważnie o zabranii do Madrytu tego Polaka, który z hiszpańskimi defensorami bawił się w kotka i myszkę. Widział dla niego miejsce w Realu. Ale był rok 1959, w Hiszpanii rządził Franco, w Polsce PZPR, Brychczy grał w wojskowym klubie i o wyjeździe trzeba było zapomnieć.

Polska Barcelona

"Oczywiście, że o tym myślałem - powie po latach - ale krótko. Myśmy wtedy nie zawracali sobie głowy wyjazdami, bo były nierealne. Zresztą, Legia to była taka polska Barcelona".

Jest rodowitym Ślązakiem, synem powstańca. Na swoim terenie był tak dobry, że Legia, chcąc uprzedzić inne kluby, powołała go do wojska pół roku przed ustawowym terminem. W połowie roku 1954, niemal dokładnie w dniu dwudziestych urodzin przyjechał do Warszawy i już w niej pozostał. Od tamtej pory pracuje w Legii, od 1959 roku mieszka w tym samym miejscu - długim bloku przy Świętokrzyskiej, naprzeciw Pałacu Kultury, skąd ruszył w świat jego uczeń i sąsiad - Kazimierz Deyna.

"Pierwszy z czterech tytułów mistrza Polski pamiętam najlepiej. Kiedy przyszedłem na Łazienkowską, Legia ledwo uratowała się przed spadkiem. Były nawet takie pomysły, żeby rozwiązać drużynę, ale doszedłem ja, Marcei Strzykowski i jakoś zaczęliśmy grać. Na decydujący mecz jechaliśmy do Cracovii. Kto wygrywał, ten zostawał w lidze. I zwyciężyliśmy na ich boisku 2:0, chociaż Ernest Pol nie strzelił karnego. Trener Steiner zaczął przekształcać Legię na wzór Honvedu Budapeszt. Do tej pory, po dwóch latach służby wojskowej piłkarze wracali do swoich klubów i drużynę trzeba było budować od nowa. Steiner spowodował, że najlepsi zostawali dłużej. I rok po tym, jak Legia miała przestać istnieć, zdobyliśmy pierwsze mistrzostwo Polski. Rok później, kiedy trenerem został Ryszard Koncewicz, miał już wszystko ustawione. Przez dwa lata z rzędu zdobywaliśmy tytuły mistrza i Puchar Polski. Dostaliśmy w nagrodę skórzane płaszcze na podpince. Takie nosili tylko oficerowie. Miałem wtedy 22 lata".

Argumenty Wejwody

Na następny tytuł Legia czekała trzynaście lat. W czerwcu 1969 roku decydował o nim mecz z Ruchem Chorzów, na Łazienkowskiej. Jeden z najpiękniejszych, jakie tam rozegrano. Legia zwyciężyła 6:2. "W Ruchu na obronie grał Antoni Piechniczek - wspomina Brychczy - ale co on mógł przy Robertie Gadosze. To był pożegnalny mecz naszego trenera Jaroslava Wejwody, który zrobił z Legii wielką drużynę. Kiedy przyszedł trzy lata wcześniej i zobaczyłem, jak ciężkie są jego treningi, postanowiłem zakończyć karierę. Miałem 32 lata i coraz mniej zdrowia. Z jednego treningu nawet mnie wyrzucił, ale potem wziął na rozmowę i zaczął przekonywać, że powinienem dawać dobry przykład, że jestem potrzebny i jemu, i Deynie, którego trzeba było wszystkiego uczyć, żeby nie zmarnował wielkiego talentu. Przekonywał tak skutecznie, że nie tylko grałem do 38. roku życia, ale zdobyłem jeszcze dwa tytuły mistrzowskie i zagrałem w półfinale Pucharu Mistrzów. Za mecz z Feyenoordem dostaliśmy premię w wysokości 300 złotych. W roku 1970 to była jedna dobra pensja".

Szczęście Fabiańskiego

Został w Legii jako asystent wszystkich kolejnych trenerów lub zastępował ich po nagłych zwolnieniach. Kiedy Legię prowadził Andrzej Strelau, poważnie myślał nawet o wpuszczeniu "Kiego" na połówki niektórych meczów, żeby poprowadził grę. Miał już wtedy 45 lat, ale na treningach był lepszy od wielu zawodników, którzy mogliby być jego synami.

Od ćwierć wieku jest przekleństwem i szczęściem wszystkich bramkarzy Legii. Kiedy po meczu z Górnikiem spytano Łukasza Fabiańskiego, w jaki sposób obronił bardzo trudny strzał, po którym piłka leciała w okienko, bramkarz Legii odpowiedział: "To nie było nic wielkiego. Pan trener Brychczy strzela mi tak, że potem na meczach żadne strzały nie są groźne".

Samochód z kierowcą

Pan trener Brychczy skończy w czerwcu 72 lata. Pracował z Pawłem Janasem, kiedy Legia zdobywała tytuły mistrzowskie i Puchar Polski w latach 1994 i 1995, z Dragomirem Okuką w 2002 i teraz z Dariuszem Wdowczykiem.

Nie wiadomo, jak go traktować i jak się do niego zwracać. Paweł Janas, przez szacunek, nigdy nie przeszedł z nim na "ty". Przyjęła się forma "Mistrzu". Kiedy kolejni trenerzy, z Wdowczykiem włącznie, zwracają się do niego, mówią albo "Panie Trenerze", albo bezosobowo - "Mistrzu".

Przed rokiem, na jakimś meczu drugiej Legii, Lucjan Brychczy stał obok Mariusza Waltera. Śpieszył się do domu i rzucił od niechcenia, że przydałby się samochód. Nazajutrz poprosił go prezes Piotr Zygo, mówiąc, że ITI postanowiło dać mu samochód, żeby nie musiał się śpieszyć i tłoczyć w autobusach. Powstał problem, bo "Kici" nie ma prawa jazdy. Postanowiono więc, że samochód otrzyma trener bramkarzy Krzysztof Dowhań i w razie potrzeby będzie woził "Mistrza". W ten sposób Lucjan Brychczy ma samochód z kierowcą, a Dowhań jest z tego dumny.